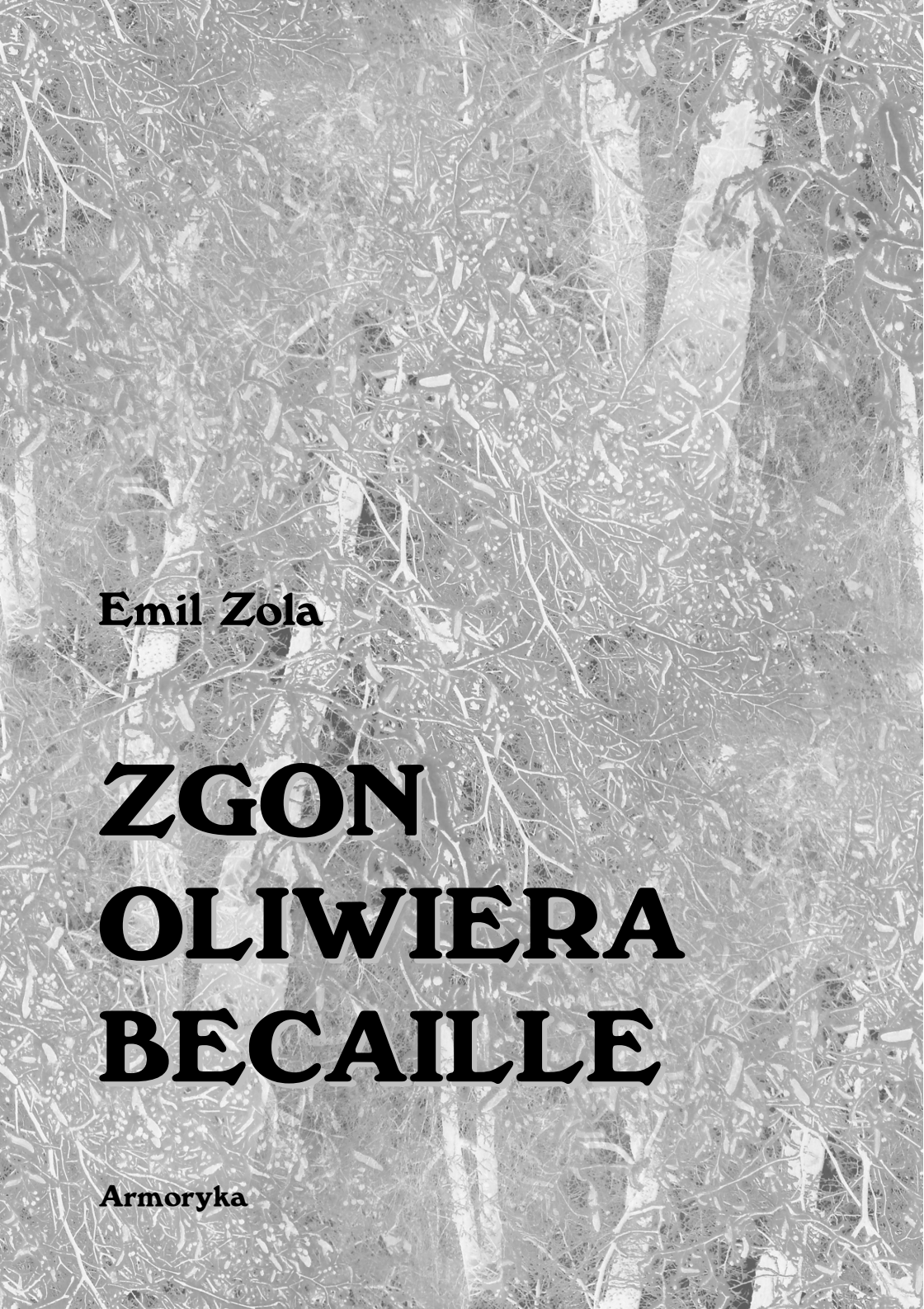




Emil Zola

**ZGON
OLIWIERA
BECAILLE**

Armoryka

Emil Zola

**ZGON OLIWIERA BECAILLE
i inne opowiadania**

Emil Zola

ZGON OLIWIERA BECAILLE
i inne opowiadania

przełożył Zygmunt Niedźwiecki.

Armoryka
SANDOMIERZ 2009

Redaktor: Włóczyśław (Włóczek) Kot
Projekt okładki: Juliusz Susak

Copyright © 2009 by Wydawnictwo
i Księgarnia Internetowa ARMORYKA

Wydawnictwo ARMORYKA
ul. Krucza 16
27-600 Sandomierz
tel (0-15) 833 21 41
e-mail: wydawnictwo.armoryka@interia.pl
<http://www.armoryka.strefa.pl/>

ISBN 978-83-7639-038-3

ZGON OLIWIERA BECAILLE

I.

Umarłem w sobotę o godzinie szóstej z rana, po trzydniowej chorobie. Biedna moja żona szukała czegoś od dłuższej chwili w kufrze z bielizną. Gdy się podniosła i zobaczyła, że leżę z otwartymi oczyma, bez tchu, zeszywniały, podbiegła, myśląc, że to zemdlenie, i nachyliwszy się nad moją twarzą, dotknęła moich rąk. Naraz strach ją ogarnął i tracąc głowę, jęknęła z łez wybuchem:

— Boże mój, Boże!... Umarł!... Słyszałem wszystko najwyraźniej, tyle tylko, że stłumione dźwięki zdawały się mnie dołatywać jakby gdzieś z bardzo daleka. Jedynie lewym okiem mogłem jeszcze podchwycić blask niewyraźny, bladawe światło, w którym roztopiały się kształty przedmiotów, prawe me oko było zupełnie bezwładne. Było to omdlenie całego organizmu, jakby od porażenia piorunem. Wola ma zastygła, wszystkie fibry ciała wypowiedziały posłuszeństwo. W unicestwieniu tym prawie całej mojej istoty fizycznej jedna tylko myśl żyła jeszcze, snując się wolno i leniwie, choć z nieskazitelną wyrazistością.

Moja biedna Małgorzata, padłszy na kolana przy łóżku, powtarzała raz po raz rozdzierającym głosem:

— Nie żyje!... Boże mój!... Nie żyje!...

Byłże śmiercią w rzeczy samej ten stan dziwnego zdrętwienia, to pogrążenie ciała w bezruchu, gdy równocześnie inteligencja nie przestawała ani na chwilę funkcjonować?!... A może dusza moja opóźniała się tylko w głębi czaszki, zanim i ona uleci. Podobne kryzysy nerwów nawiedzały mnie od dzieciństwa. Dwukrotnie, kiedy byłem jeszcze całkiem mały, napady ostrej gorączki omal nie pozbawiły mnie życia. Toteż otoczenie moje przyzwyczało się uważać mnie za dziecko słabowite i ja sam wyperswadowałem Małgorzacie sprowadzanie lekarza, kiedyś się uczułem zmuszonym położyć do łóżka zaraz z rana po naszym przyjeździe do Paryża, do tego hotelu przy ulicy Dauphine. Trochę odpoczynku wystarczy; to znużenie podróży dało mi się nieco we znaki. Byłem jednakże pełen obaw. Opuściliśmy bowiem całkiem niespodzianie prowincję, z bardzo szczupłymi środkami, mając zaledwie o czym doczekać mej pierwszej pensji za miesiąc w biurze, w którym otrzymałem miejsce. I oto nagły kryzys zabrał mnie ze świata.

Byłaż to śmierć naprawdę?... Wyobrażałem ją sobie w postaci nocy czarniejszej, głębszego, niżeli to, milczenia. Już od lat dziecięcych śmierć przejmowała mnie zawsze szczególnym strachem. Ponieważ byłem wątły i ludzie mnie pieścili z jakimś odcieniem litości, myślałem więc ciągle, że długo nie pożyję i że wcześniej od niejednego powędruję na tamten świat. Nie byłem też nigdy w stanie oswoić się z lękiem, jakim mnie przejmowała myśl o znalezieniu się w ziemi, chociaż myśl o tym nie opuszczała mnie w dzień ani w nocy. Wzrosłem z tą ideą fixe. Niekiedy, po kilku dniach rozmyślań, здавало mi się, że przemogłem mą trwogę. Więc cóż stąd?...

Umrze człowiek i skończona historia. Wszyscy przecie w końcu umrzeć muszą i trudno sobie nawet wystawić urządzenie dogodniejsze i lepsze. Poweselałem niemal, doszedł-

szy do tej konkluzji, dzięki której mogłem odtąd śmierci spoglądać prosto w twarz. Wtem nagły dreszcz mnie mroził, zapędzając na powrót w jarzmo opętania, jakbym porwany ręką olbrzyma, zawisł nad czarną otchłanią.

Przerażająca myśl o grobie wracała, obalając wszelkie rozumowania. Ileż to razy nocą, zbudziwszy się nagle, zrywałem się, nie mogąc sobie zdać sprawy, co za tajemniczy podmuch przeleciał we śnie nade mną, łamiąc rozpaczliwie ręce i jęcząc: „Boże mój! Boże!... Więc muszę umrzeć?!...” Trwoga przytłaczała mi kamieniem piersi, a nieuchronna konieczność zgonu nabierała jeszcze więcej ohydy w zamęcie ocknienia. Z trudem jedynie udawało mi się na powrót zasnąć, bo i sen przejmował mnie lękiem przez podobieństwo swoje do śmierci. Jeżeli zasnę kiedy na wieki?...

Jeżeli, zamknąwszy oczy, nie otworzę ich już więcej?...

Nie wiem, czy inni ludzie przechodzą kiedy także podobne męki. Mnie one zatruwały życie. Pomiedzy mną, a wszystkim co kochałem, stała bez przerwy śmierć. Pamiętam chwile największego szczęścia, spędzone z Małgorzatą. Gdy w pierwszych miesiącach naszego pożycia spoczywała u mego boku uśpiona i kiedym, myśląc o niej, puszczał wodze rojeniom o przyszłości, zawsze obawa fatalnego rozstania mąciła moje szczęście, burzyła wszelką nadzieję. Będziemy się musieli rozstać może już jutro? Za godzinę może... I ogarniało mnie niezmiernie zniechęcenie, w którym zapytywałem sam siebie, na co ten raj wspólnego życia, skoro musi się on kiedyś zakończyć rozbratem tak okrutnym?... Imaginacja moja poczęła się lubować w żałobnych obrazach. Kto też z nas pierwszy umrze?... ja, czy ona?... I obie alternatywy łyzy wyciskały z mych oczu, roztaczając przede mną dalsze obrazy naszych zwichniętych istnień. W najszcześniejszych okresach mego życia miewałem z tego powodu napady naglej melancholii, których ludzie nie mogli zrozumieć. Dziwili się wszyscy na widok mojej ponurej miny w chwilach, kiedy mnie spotkało coś przyjemnego. Powodom zaś tego była myśl o nicości, co nagle

przemknęła przez mą radość. Straszliwe „po co?” dźwięczało bez ustanku, jak dzwon pogrzebowy, w moich uszach. Co jednak w podobnych udręczeniach jest najprzykrzejszym, to, że się z nimi człowiek porać musi w zawstydzającej tajemnicy, nie mając odwagi nikomu wyznać swojej męki. Nieraz z pewnością i męża i żonę, gdy zgasiwszy światło, spoczywają przy sobie, przejmie ten sam dreszcz, lecz ani jedno ni drugie nie wspomni o tym, ponieważ człowiek nie lubi mówić o śmierci, tak samo, jak nie wygłasza pewnych słów sprośnych. Wzbudza ona w nas taki strach, że nawet nie wspominamy jej imienia, kryjąc ją jak się ukrywa swą pleć.

Rozmyślałem obecnie nad tymi wszystkimi rzeczami, a moja droga Małgorzata nie przestawała ani na chwilę szlochać. Męczyło mnie to straszliwie, że nie mogę ukoić jej żalu, ani jej dać do poznania, że nie doświadczam żadnych fizycznych cierpień. Jesliby śmierć nie miała być w rzeczy samej niczym więcej nad to omdlenie ciała, nie miałem doprawdy racji tak się jej bać całe życie. Stan to był pełen jakiejś samolubnej błogości i pokoju, wolny od wszelkiej troski. Nad wszystkimi innymi władzami mej duszy pamięć moja nabrała największej żywości. Błyskawicznie poczęła się przede mną przesuwąć cała moja egzystencja, niby widowisko, któremu się przypatrywałem oczyma obcego. Dziwny ten i ciekawy stan bawił mnie. Rzekłbyś: głos daleki opowiada ci własne twoje dzieje.

Nawinęło mi się między innymi wspomnienie pewnego zakątka wiejskiego w pobliżu Gyérande, na drodze z Piriac: las sosnowy, spuszczający się na skrócie drogi bezładnie po stokach skał. Mając lat siedem, chodziłem tam często z moim ojcem do wpółzwalonego domu, gdzieśmy się posilali należnikami rodziców Małgorzaty, solarzy, utrzymujących się z ciężką biedą z pobliskich żup. Potem przypomniało mi się kolegium w Nantes, gdzie wzrosłem w nudzie starych murów, wśród ustawicznej tęsknoty za rozległym widnokręgiem Guérande, za słonymi bagnami, ciągnącymi się jak okiem się-

gnął pod miastem, i za bezbrzeżnym morzem, rozesłanym w płaszczyznę bez końca u stóp niebios.

W tym miejscu czarna jama przerywała tok moich wspomnień: mój ojciec zmarł. Dostawszy w administracji szpitala posadę urzędnika, rozpocząłem teraz monotony żywot, którego jedyne jasne chwile przypadały w niedzielę, w godzinach odwiedzin starego domostwa w Piriac. Interesy szły tam coraz gorzej, żupy solne przestały w końcu prawie zupełnie nieść dochód, okolica popadała w coraz straszniejszą nędzę. Małgorzata była wtenczas jeszcze dzieckiem. Lubiła mnie bardzo, ponieważ woziłem ją zawsze na taczkach. W kilka lat potem jednak, w dniu, w którym ją poprosiłem o jej rękę, ruch przełknięcia, jakim przyjęła te oświadczyzny, powinien mnie być oświecić, że się jej wydawałem wstrętnym. Rodzice wszakże oddali mi ją bez wahania, gdyż uwalniało ich to od kłopotów. Przez dziecięcą uległość nie sprzeciwiła się ich woli, a oswoiwszy się raz z myślą wyjścia za mnie, zdaje się, że przestała się tym nawet martwić. W dniu naszego ślubu w Guérande łało, pamiętam, jak z cebra, tak, że za powrotem do domu Małgorzata musiała zamienić ślubną toaletę na zwykłą sukienkę, tak zmokła.

Oto cała ma młodość. Czas jakiś żyliśmy w tamtych stronach. Raz jednak, wróciwszy z biura do domu, przyłapałem mą żonę na rzewnym płaczu. Nudziło jej się tam, chciała, abyśmy się przenieśli gdzie indziej. W pół roku zaoszczędziłem po groszu niewielką kwotę przy pomocy prac nadobowiązkowych. Ponieważ jeden z dawnych przyjaciół mej rodziny zajął się wyszukaniem mi miejsca w Paryżu, zawiozłem tam drogą dziecinę moją, by więcej nie miała powodu do płaczu. W pociągu kolejowym śmiała się już. Za nadejściem nocy wziąłem ją na kolana, aby jej było miękko spać, bo ławki w trzeciej klasie są twarde!

Wszystko to należało obecnie do przeszłości. W tej chwili bowiem byłem już oto tylko nieboszczykiem, zmarłym w ciasnym hotelowym łóżku, podczas kiedy ma żona, ukląkszy na

podłodze, biadała nad moją śmiercią wśród lkań. Biała plama, którą dostrzegало lewe moje oko, bladła stopniowo; pamiętałem jednak dokładnie rozkład pokoju: po lewej komoda, po prawej kominek, na środku którego rozbity zegar bez wahadła wskazywał godzinę dziesiątą minut sześć. Okno wychodziło na ulicę Dauphiné, głęboką i czarną. Cały Paryż przewalał się na nią i to wśród takiego zgiełku, żem słyszał, jak od niego szyby brzęczą.

Nie znaliśmy w Paryżu oboje ani żywej duszy. Ponieważ przyspieszyliśmy nasz przyjazd, oczekiwano mnie więc w mym biurze dopiero w najbliższy poniedziałek. Odkąd leżałem w łóżku, szczególne wrażenie wzbudzało we mnie to uwięzienie w nieznanym pokoju, do którego wtrąciła nas podróż, oszołomionych jeszcze piętnastoma godzinami jazdy kolejowej, otumanionych zgiełkiem ulicznym. Żona moja pielęgnowała mnie z tym samym co zawsze uśmiechem dobroci; czułem jednak aż nazbyt dobrze, jak bardzo musiała być strokana. Od czasu do czasu podchodziła ku oknu, aby wyrzec na ulicę, po czym wracała wybladła, przerażona ogromem tego Paryża, w którym nie znała ani jednej cegielki, a który huczał dokoła nas tak straszliwie. Co ona pocznie, jeśli się nie obudzę?... Co się z nią stanie w tym olbrzymim mieście, samą, bez żadnej opieki, nieświadomą niczego?...

Ujawszy jedną z rąk moich, bezwładnie z brzegu łóżka zwiśła, poczęła ją całować, powtarzając jakby w obłędzie:

— Oliwierze!... Odezwijże się!... Mój Boże!... Umarł!... umarł!...

Jednakże śmierć nie jest nicością zupełną, pomyślałem, skoro byłem w stanie słyszeć i rozumować. A tylko nicość przerażała mnie od dzieciństwa. Nie byłem nigdy w stanie wyobrazić sobie całkowite zniknięcie mego ja, kompletne unicestwienie tego, czym jestem, i to na zawsze, na wieki wieków, z wykluczeniem powtórnej kiedykolwiek egzystencji. Dreszcz mnie nieraz przebiegał, kiedy napotkał w jakiej gazecie jedną z dat przyszłych najbliższego stulecia i pomyślał: